

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

### róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

## PARYSKIE GADY.

I nie czując, jak mu garson zarzuca futro na ramiona, wyszedł razem z młodym człowiekiem. Główny garson towarzyszył im z szacunkiem do drzwi z początku, potem odprowadził ich aż na ulicę. Gdy wsiedli już go samochodu i drzwiczki zatrzaskiły się za nimi, zapukał dyskretnie do okna. Piotr opuścił okno, mówiąc półgłosem:

— Nie uregulowaliśmy rachunku.

Garsoni, którzy podawali w gabinecie, patrzyli na nich zdaleka z zawiedzionymi minami. Miliarder domyślił się wreszcie o co chodzi. Wyjął z kieszeni portfel pełen banknotów i podał go kelnerowi, dodając na pożegnanie:

— Resztę proszę zatrzymać dla siebie.

### III.

Piotr kazał wracać szoferowi do hotelu. Samochód pędził znowu przez Broadway. Lewis Jackson wysunął głowę przez okno i nie ruszał się. Silny i zimny wiatr chłodził mu rozpalone czoło i uspokajał naprężone jego nerwy. Gdy zajechali, miliard odetchnął głęboko i rzekł:

— Teraz mi lepiej!...

Na progu hotelu Piotr zawahał się, nie wiedząc, czy ma iść za wujem, usłyszał jednak zwrócone do siebie słowa:

— Chodź ze mną.

Gdy wchodzili do salonu, apartamentu na dwiatym piętrze, zjawił się przed nimi sekretarz business mana. Był to mężczyzna między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, wysoki, suchy, o twarzy koloru cegły. W rękę trzymał karty wizytowe:

— Oto osoby, które przychodziły w tym czasie — rzekł.

Nieobecność miliardera trwała tylko półtorej godziny, a przez ten czas sekretarz zebrał już piętnaście kart. Lewis Jackson jednak ani nie spojrzał, ani nie słuchał sekretarza, który mówił dalej:

— Sześć z tych osób przyjdzie później, a dzie więć czeka na dole.

Miliarder zrobił znaczący ruch, by go zostawiono w spokoju. Sekretarz domyślił się, że pan jego jest zajęty. Zajęty mógł on być jednak tylko jakąś sprawą, a ta sprawa nie mogła być ważniejszą od tej, o jakiej chciał z nim mówić jeden z przycho dzących. Zaczął więc nalegać:

— Za godzinę będzie tutaj Walter Vanderbilt.

Lewis Jackson wziął w milczeniu te piętnaście kart wizytowych, otworzył okno i wyrzucił je na ulicę. Potem zamykając okno, dodał:

— Oto co zrobię z pierwszym, kto mi będzie przeskadzał.

Sekretarz, nie odzywając się już ani słowem, znikł za drzwiami. Lewis Jackson przez chwilę chodził po pokoju. Ręce założył w tył, głowę opuszczył ku ziemi i zdawało się, że uspokoił się już zupełnie, podnosząc się tylko ciągle pierś, świadczyła o wewnętrznej wzburzeniu. Zatrzymał się wreszcie przed Piotrem, podniósł głowę i rzekł głuchym głosem:

— Teraz, gdy owładnąłem już trochę sobą, posłuchaj mnie... Pojmiesz zaraz wszystko... Wiesz, że byłem żonaty?

— Wiem.

— Że poślubiłem młodą, ubogą pannę.

— Słyszałem od swego ojca, że było to małżeństwo z miłości.

— Tak, z miłości... A słyszałeś o tem, że żona mnie zdradziła?

— Mniej więcej.

— Lecz nie wiesz, w jaki sposób dowiedziałem się o jej niewierności?... Dzięki listom miłosnym, przysyłanym jej poste-restante!...

Piotr szepnął:

— Gdybym przypuszczał coś podobnego...

— Nie opowiadałbyś o tem, co tobie się przytrafiło?...

— Rozumiem teraz to wzruszenie...

— Nic jeszcze nie rozumiesz! Nie chodzi tu o wzruszenie, lecz o najstraszniejszą torturę moralną!

Lewis Jackson schwycił się przytem pełnym boleści ruchem za piersi, w których serce biło tak silnie, iż zdawało się, że chce je rozsadzić.

— Panie... wuju mój... szepnął z współczuciem młody człowiek.

— Pozwól mi dokończyć... Żona przysięgała mi na wszystko, że tych listów poste-restante nigdy ani nie otrzymywała, ani nawet nie widziała... Podpisane one były nazwiskiem Jan de Tourville i dotyczyły schadzek, obywateli w wynajętym pałacyku przy ulicy Alger... Pospieszyłem tam... Jan de Tourville przychodził tu tylko na rendez-vous... Mieszkanie jego było nieznane... Nigdy nie mogłem go odnaleźć...

Piotr otworzył szeroko ze zdziwienia swe oczy.

— To znaczy — rzekł — że to wszystko co odbyło się z wujem w...

— W 1888 roku...

— Powtórzyło się dokładnie ze mną w 1907?...

— Dokładniej nawet, niż to sobie wyobrażasz...

— Dokładniej jeszcze?

— W miarę, jak mi podawałeś nowe szczegóły — ciągnął Lewis Jackson — co raz bardziej dziwiło mnie podobieństwo faktów, aż wreszcie zaczęło mnie to przerażać... Zastanowił mnie zwłaszcza ostatni szczegół... Do historii twojej włączają się Maksym Duret i jego siostrzenica!

— Tak!

— Byli oni również włączani i do mego, zupełnie podobnego dramatu z przed dwudziestu lat!

— To dziwne! — rzekł zdumiony Piotr.

— To straszne!

— Straszne?

— Tak, mój drogi! — zawołał Lewis Jackson, chwytając go za rękę i silnie nią wstrząsając. Taki zbieg okoliczności trudno tłumaczyć wypadkiem! Musiała tu być jakaś wstrętna machinacja, ofiarą której padła naprzód moja żona, a potem Ludwika Dubois.

Piotr stał się teraz tak blady jak i Amerykanin.

— Machinacja? — powtórzył bezdźwięcznym głosem. — Och! Ależ to byłoby za okrutne!

— Okrutniejsze nawet, niż sądzisz! Ty nie wiesz o tem, że znieważyłem Magdalene...

— Magdalene?

— Moją żonę... Znieważyłem ją, przekląłem i wypędziłem... Pojechałem do Stanów Zjednoczonych, zostawiając ją samą i bez żadnych środków do życia... Ona może była niewinna... Żyła całe lata w nędzy i rozpacz...

Głos Lewisa stał się słabszym. Nie śmiał wyrazić głośno tego, o czym sama myśl go przerażała. Piotr zresztą nie słuchał go już wcale.

— Machinacja! — powtarzał młody człowiek. Ludwika nie dopuściła się tego, o co ją posadzono! A ja ją odepchnąłem, gdy wołała, że jest niewinną! Boże mój!

— Odepchnąłeś ją — rzekł Lewis Jackson. — Możesz jednak prosić jej o przebaczenie... Ona żyje jeszcze... Żona moja już umarła!

— Umarła! — zawołał Piotr, zapominając na

chwilę o swem cierpieniu, wobec boleści tego nie- szczęśliwego.

Usłyszał zaraz cichą odpowiedź Lewisa:

— Tak... Widziałem, jak umierała...

— Wuj więc powrócił do niej?

— Nie... Jawiła mi się...

— Jakto?

— Pewnego wieczoru byłem sam w parku swej willi w Los-Angeles, w Kalifornii. Szedłem przez aleję palmową... Nagle w ciemnościach ujrzałem przed sobą Magdalene tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę... Zdawała się być wtedy w tym samym wieku, w jakim ją opuściłem i w sukni, jaką wtedy nosiła... Twarz jej jednak była przeźroczysta i oczy miała zamknięte. Naraz doznałem wrażenia, że w chwili tej właśnie we Francji, o dwa tysiące kilometrów odemnie, umiera moja żona... Była to tak zwana halucynacja telepatyczna... Magdalena miała wtedy trzydzieści dziewięć lat...

Po chwilowej przerwie miliardier mówił dalej:

— Była jeszcze młodą... Niedostatek jednak i zmartwienia wyciskają na nas piętno... Kto wie, czy nie cierpiała głodu!... A ja miałem czterdzieści milionów renty i wydawałem dziennie sto tysięcy franków!...

Lewis Jackson zamilkł znowu. Zaczął chodzić szybko od jednego rogu salonu do drugiego, jak gdyby chciał umknąć przed swymi myślami.

Piotr starając się opanować i zebrać swe myśli, rzekł:

— Lecz jakieżby miał cel autor tych machinacji?... Wiem natomiast, jaką korzyść odniosłyby niektóre osoby z zerwania mego stosunku z Ludwiką.

Miliarder zatrzymał się i popatrzył na Piotra, który mówił dalej:

— Jakież jednak interes mieli w odrywaniu wuja od żony?

Przy tem ostatniemu zdaniu w umyśle Lewisa Jacksona zjawiała się nowa myśl. Schwycił się za włosy i zapytał głosem pełnym hamowanej wściekłości:

— Kogo rozumiesz przez te niektóre osoby? Maksyma Dureta i jego siostrzenicę?

— Tak.

— A dlaczegoż pragnęliby oni zerwania związku twego z ich nauczycielką?

— Gdyż gdyby nie ona, to prawdopodobnie ożeniłbym się z Kamillą de Lagunan...

— Tak, to ten cel! — potwierdził Lewis Jackson. — Ten cel!

Jego zimna krew, którą odzyskał w czasie jazdy z restauracji do hotelu, opuszczała go znowu. Zamyślał rozpacznie ręce i drżał z gniewu. Nerwy zawiązały w końcu jego wolę, gdyż zakrył sobie rękami twarz i rozplakał się.

— Przebaczenia, Magdaleno! Och! przebac mi! — wołał rozdzierającym głosem.

Potem, zwracając się do Piotra, rzekł urywane- mi słowy:

— Zobaczysz zaraz... jaki interes miał Duret i jego siostrzenica... w rozłączaniu mnie z żoną... Ten interes... tak...

Wielki business man, który z niezwykłą szybkością i jasnością rozwijał najbardziej skomplikowane sprawy, nie mógł teraz przedstawić swej prostej historii. Przerwał i rzekł po krótkim milczeniu:

— Opowiem ci to wszystko na okręcie.

— Jakim okręcie? — zapytał Piotr.

— Na który wsiądziemy.

I przy słowach tych podszedł do dzwonka elektrycznego i nacisnął go naprzód raz, potem dwa razy.

W tej samej chwili ukazał się sekretarz i służący.

— Smith — rzekł business-man do sekretarza — musimy jak najprędzej jechać do Paryża... Jedzie